

WIADOMOŚCI GRODZIENSKIE

Nagły wniosek ludowców w sprawie stosunku władz do strajku rolnego budzi najwięcej zaciekawienia w dzisiejszych obradach Sejmu

Po miesięcznej przerwie, spowodowanej odroczeniem zwyczajnej sesji sejmowej, odbędzie się dziś o 4-tej popołudniu plenarne posiedzenie Sejmu.

Jak już donosiliśmy porządek dzienny obejmie 11 punktów, przeważnie pierwsze czytania rządowych projektów ustaw.

Główne zainteresowanie dzisiejszego posiedzenia skupia się na ostatnim punkcie. Jest to na głowę wniosku Stronnictwa Ludowego w sprawie stosunku władz administracyjnych wobec strajku rolnego. Jeśli chodzi o Stronnictwo Ludowe i jego taktykę podczas obecnej sesji budżetowej, to zdecydowanie będą obrady Rady Naczelnej i delegatów tego stronnictwa, które odbędą się w sobotę i niedzielę. Obrady te będą duże zainteresowanie w kołach politycznych ze względu na tendencje nurtujące wśród przywódców Str. Ludowego, którzy zmierzają do złożenia mandatów poselskich.

Poza tem skupia się zainteresowanie na wnioskach referacie pos. Witosa. Referat ten ma przedstawić sytuację wło-

ścianstwa polskiego i panujące w nim nastroje, wreszcie pos. Witos ma przedstawić plan pracy na przyszłość Stronnictwa Ludowego.

Jak dotychczas wiadomo, pos. Witos wypowie się za strwożeniem najbliższego porozumienia ze stronnictwami lewicowymi.

Obrońcy frontu i dostawcy wojenni

Walny Zjazd Legionistów piętnuje Jednostki, wyszukujące zbiedzone społeczeństwo

W niedzielę toczyły się obrady walnego zjazdu delegatów Związku Legionistów.

W czasie zjazdu uchwalono m. in. następujące rezolucje:

Walny zjazd delegatów, zwalniając, że ludność przeżywa lata ciężkiego kryzysu gospodarczego, oraz stwierdzając, że w mobilizacji sił narodu nie wszystkie warstwy jednako-

wo ofiarny biorą udział, że czasy obecne mogą przypominać podział na obrońców frontu i dostawców wojennych — wyraża przekonanie, że ciężry kryzysu muszą być równomiernie rozłożone na wszystkie warstwy społeczne, zaś jednostki, wyszukujące zbiedzone społeczeństwo winny unikać na zdecydowany nacisk a nawet represje ze strony rządu i polityki. Walny zjazd delegatów — posiadając dane, że pewna ilość ludzi bogatych przechowuje część majątku narodowego w zagranicznych bankach, postawiając kraj niezbędnych środków pieniężnych, stwierdza, że te objawy w okresie walki całego narodu na froncie gospodarczym są zdradą kraju.

Bezrobotni grożą atakiem na siedzibę amerykańskiego Kongresu

WASZYNGTON, (PAT). — Wczoraj zakwaterowano około a stolicy 10 tysięcy żołnierzy gwardii narodowej i strzelców morskich w przewidywanym na dzisiaj czolowych oddziałach „marszu głodnych”. Zmobilizowano również 1.750 policjantów i strażaków.

W niedzielę do Waszyngtonu przybyło 2.500 bezrobotnych z

żonami i dziećmi. Niektórzy z nich przybyli do stolicy samochodami, inni piechotą. Bezrobotni zatrzymani zostali na przedmieściach i odstawieni do baraków.

Delegaci związku bezrobotnych, opanowanego przez komunistów, wygłosili przemówienia do przybyłych.

Dziś oczekiwane jest przybycie do Waszyngtonu nowych

transportów bezrobotnych. Bezrobotni zamierzają zorganizować defiladę „głodnych” na ulicach miasta i demonstrację przed Kapitołem i Białym Domem. Policja zastosowała daleko idące środki ostrożności. Jeden z przywódców bezrobotnych oświadczył, że jeżeli żądania „głodnych” nie będą spełnione, wówczas bezrobotni zaatakują gmach Kongresu.

Niech Europa ogłosi plażę!

Jeśli nie chce tego — niech odda długi Ameryce

Jak donoszą z Waszyngtonu, Kongres St. Zjednoczonych zajmie w sprawie odroczenia spłaty długów wojennych, stanowisko nieprzychylnie. Według opinii, przeważającej wśród członków Kongresu, państwa europejskie muszą albo spłacić swe długi, albo ogłosić niewypłacalność.

Prezydent Kongresu stara się jednak wpłynąć na zmianę tego stanowiska i osiągnąć pewne ułatwienia, przynajmniej dla Anglii.

Podobno prez. St. Zjednoczonych Hoover, zwrócił się za pośrednictwem ambasadora Meltona do rządu angielskiego o wskazanie najdogodniejszego

dla Anglii sposobu spłat.

Obok sprawy długów wojennych zajmie się również Kongres kwestią prohibicji. Prezydent izby reprezentantów, Garner, na wczorajszym posiedzeniu, miał podać pod głosowanie wniosek o uchYLENIE ustawy prohibicyjnej. Dla przeprowadzenia tego wniosku koniecznym jest uzyskanie większości kwalifikowanej 2/3 głosów.

Katastrofa 30 sportowców

6 z nich odniosło ciężkie rany w zderzeniu samochodów

BERLIN, (ATE). — Na autobus, powracający z holenderską drużyną piłkarską, która brała udział w meczu z niemiecką reprezentacją w Düsseldorfie najechał w pełnym biegu samochód osobowy. Siła zderzenia była tak wielka, że szofer samochodu osobowego został wyrzucony na bruk i doznał pęknięcia czaszki. Z pośród 30 pasażerów

autobusu, 6-ku jest ciężko rannych, a trzech doznało wstrząsu nerwowego. Katastrofa nastąpiła

w chwili, gdy autobus zatrzymał się dla zapalenia zgaszonych reflektorów.

Dorożkarz z Żyrardowa niewinny

w sprawie o rzucenie swej kochanki pod pociąg

Sąd okręgowy ogłosił wczoraj wyrok w niezwykle sensacyjnym procesie, stanowiącym zagadkę toru kolejowego pod Żyrardowem, gdzie w niewyjaśniony sposób poniosła śmierć przyjaciółka dorożkarza z Żyrardowa, Romana Zakrzewskiego.

Proces o tyle wyróżniał się od innych, że choć przeciwko Zakrzewskiemu zebrano mnóstwo poszlak, które związane razem logicznie prowadziły w ramy oskarżenia o zbrodnię, jednakże brakowało jednego, niezwykle ważnego momentu: w jakim celu Zakrzewski miał się dopuścić potwornego czynu.

Świadkowie przesłuchani przez Sąd, potwierdzili tylko ogólny rysunek, nie nie dodając, ani nie ujmując. Nadzieje, że

przyczynić się mogą do wyświetlenia pobudek, któreby skłoniły Zakrzewskiego do zbrodni — nie spełniły.

W tym stanie rzeczy Sąd Okręgowy udał się na naradę, która zakończyła się sensacyjnym wyrokiem.

Wczoraj po południu ogłoszony został wyrok. Na sali sądowej zebrały się grupy publiczności, które żywo omawiały zarówno przebieg procesu, jak i zgadywali przypuszczalny wyrok.

Przewodniczący, sędzia Leszczyński, ogłosił wyrok uniewinniający. W motywach tak sensacyjnego wyroku podano, że choć istnieją niektóre poszlaki, niekorzystnie świadczące o Zakrzewskim, a mianowicie zachowanie się jego po wypadku, gdy nie nie meldował policji; następnie zamiast pójść do domu, udał się

najpierw do pracy, by ukryć ślady pokiereszowania ubrania; wycierał tam plamy krwi z ubrania, a w policji nie przyznawał się do niczego; sąd stwierdził, jednak, że puzycie Zakrzewskiego z Markowską było do ostatniej chwili jak najlepsze, nie uprzykrzyła mu się, żył zgodnie, brak więc motywu, któryby go skłaniał do targnięcia się na jej życie.

Sąd powołał się również na ekspertyzy uczonych: prof. Wachniłca i prof. Grzywo - Dąbrowskiego, którzy orzekli, że nieszczośliwy przypadek mógł się zdarzyć w takich okolicznościach, jakie podał w tłumaczeniu swym Zakrzewski.

Jednocześnie sąd wydał nakaz bezwzględnego zwolnienia Zakrzewskiego z więzienia.

Wyrok na studentów za demonstrację 3 b. m.

Wczoraj odbyła się w starostwie Śródmieście rozprawa karowa administracyjna. Z pośród zatrzymanych zostali wczoraj skazani: Iwanowski, Szymanski, Orzechowski, Fiszer Tadeusz i Józef, Starzyński i Słobnicki na 60 dni bezwzględnej aresztu, zaś Jarecki i Pruszyński na grzywnę no dwa tysiące złotych z zamianą na 60 dni bezwzględnej aresztu.

GIEŁDA

Obrót mniejszy niż średnie, tendencja niejednoznaczna. W obrotach pozagiełdowych, dolar — 8,92, rubel złoty — 4,95 i pol.

Tendencja dla pożyczek państwowych niejednoznaczna, dla listów zastawnych przeważnie słabsza.

Gandhi znów głoduje

Ujął się w ten sposób za przyjaciółmi więźniem któremu nie pozwolono zamiać ulicy

LONDYN, (ATE). — Głośny przywódca Hindusów Gandhi ogłosił w więzieniu nową głódkę. Powodem tej głódky był strajk głodowy przyjaciela Gandhiego, prof. Patwardana, na który również jest więźniem.

Gandhi za znak solidarności rozpoczął głódkę. Dyrekcja więzienia przyrzeka cofnąć zakaz czyszczenia ulic, wobec czego Gandhi warunkowo przerwał strajk głodowy na trzy dni. Przerwanie tej głódky było konceptem, gdyż Gandhi w przeciągu pierwszych doby stracił 3 kilo i ogólnie osłabł.

Śmierć 100-letniego trędowatego ojca 80 dzieci

BLOOMFONTAIN, (PAT). — Zmarł tu strażnik krajowic chędry na tyfus. Pozostawił kilka żon i przeszło 80 dzieci, z których niektóre zdrauzają objawy trądu.

Wyzysk pracy, a umocnienie ruchu zawodowego

Półtora złotego za dzień pracy

Tyle płaci przedsiębiorca robotnikowi budowlanemu

W dalszym ciągu naszej ankiety na temat wyzysku pracy zwrócił się do p. Józefa Pluskowskiego, sekretarza gen. Zw. Zaw. Robotników Budowlanych, który w ten sposób określa stan faktyczny na rynku pracy w przemyśle budowlanym:

— Kryzys gospodarczy, który spowodował plagę bezrobocia, najbardziej dotknął przemysł budowlany. Wskutek tego wytworzyła się szalona podaż sił roboczych przy niesłychanie niskim popycie, co w wyniku doprowadziło do ruiny mas robotników budowlanych i do obniżenia płac poniżej minimum utrzymania. Na tem tie rozgrywa się orgia wyzysku w przemyśle budowlanym na tych odcinkach, gdzie jeszcze coś niecoś się robi.

Dam przykład. Przy budowie domów w Warszawie na Żoliborzu dla Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych przedsiębiorca prywatny, który wykonywał robotę, płacił robotnikom niefachowym po półtora złotego dziennie.

— Jakże to mogło być? Przecież są umowy, które regulują płace!

— Tak. Niestety, przedsiębiorca, o którym mowa, nie zatrudniał robotników zrzeszonych. Przyjmował do pracy ludzi z poza związków, ludzi, pozbawionych opieki organizacji zawodowej, a więc bezradnych wobec wyzysku. Dyktował im płace, a nieszczęśliwi, chcąc zarobić choć na okruchy chleba, przyjmowali warunki dyktatora.

— A dlaczego przedsiębiorcy imają się takich niecznych metod?

— Rzecz tę trudno wytłumaczyć, ale, jeśli już trzeba tłumaczyć, można usprawiedliwienie

znaleźć w wyścigu konkurencji. Przedsiębiorcy przyjmują roboty po konkurencyjnych cenach. Niskie więc oferty chcą odbić na robociznie. Oczywiście, są to niezdrowe warunki gospodarcze, których skutki, na nieszczęście, spadają na barki robotników.

Nie lepiej jest na prowincji. Tak np. w Komorówce koło Buczacza robotnicy budowlani zarabiają od 2 do 4 zł. dziennie i muszą pracować 10 godzin.

— Dlaczego muszą?
— Muszą, bo w przeciwnym razie stracą pracę, a przedsiębiorca przyjmie innych. Tanich jak do pracy w Polsce nie brakuje! Na zapotrzebowanie 100

robotników do pracy zgłasza się pieniądze od nieczynnej fabryki

— Co zatamuje wyzysk w przemyśle budowlanym?
— To sprawa bardzo trudna. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że często robotnicy sami sobie winni. Nie zaciągali się do organizacji zawodowych, idą luzem i dlatego są wyzyskiwani. Niezmiernie ciężko jest opłacać rynek budowlany i z tego względu, że przedsiębiorcy posługują się najemnikami z prowincji, a więc wieśniakami. W każdym razie walka z wyzyskiem byłaby łatwiejsza, gdyby robotnicy zrozumieili swój interes w istnieniu silnych i zwartych organizacji zawodowych. (Zdz. W.)

Wesoły Kacik

DEPESE



Panna Karola, urzędniczka telegrafu, jest dziś marzycielsko usposobiona. Przyjmuje depe-
sze, oblicza ilość słów i według ich treści snuje marzenia.

„Czekam, przyjdź. Zygmunta”.
Tych kilka słów panna Karola liczy wolno i długo. „Czekam... ile obietnic kryje się w tem jednym słowie... A jednak życie ma w sobie dużo uroku.

Panna Karola bierze następną depe-
szę. „Kocham cię, Anielu”.
Kocha go! Chce mu o tem donieść jak najprędzej... Jakże to pięknie! Co dalej?

„Przysłać wagon sardynek”.
— Idjota! — oburza się panna Karola, licząc słowa tym razem bardzo prędko. — Czy bez sardynek nie można być szczęśliwym? W zeszłym roku zjadłam sardynkę. Nic nadzwyczajnego.

„Słemy życzenia młodej parze...”.
— Aha! Jest ślub... Najcudowniejsza chwila... Kościół oświetlony, organy grają... Zapowiedź wielkiego szczęścia...
A co potem?

„Jak cię spotkam, zbiję mordę. Kapeliman”.

Panna Karola znów liczy słowa z oburzeniem... Bierze następną depe-
szę.

„Zosia powiła syna...”
— Dziecko! Mały, cudowny, berbeci!... Macierzyństwo... Dalszy ciąg miłości i szczęścia...

Coraz bardziej rozmarzona bierze p. Karola następną depe-
szę. „Ciotka umarła. Przyjeżdżaj”.
Słowa „umarła” panna Karola nie znoś. Czempredziej odkłada depe-
szę.

„Kryśka konająca”. „Jutro pogrzeb Zygmunta”.

— Co im się tak dziś nie powodzi? — marszczy czoło. — Widocznie epidemia grypy...

Z niecierpliwością czeka, aż natrafi znów na jakąś „szczęśliwą” depe-
szę.

„Wiem, że zdradziłaś. Odchodź na zawsze”.

— Co to? — niepokoi się panna Karola. — Była miłość, ślub, dziecko, szczęście... Wszystko na nic?.. Tak było pięknie i już po wszystkim? Czy nie ma na to rady, ratunku? Więc życie nie jest takie piękne?

Prędko, prędko czyta depe-
szę, jakby szukała odpowiedzi.

„Pieniędzy otrzymałem”. „Operacja się udała”. „Okradli mnie. Prześlij na drogę”. „Ło-
lek dostał posadę”.

Setki drobnych powodzeń i niepowodzeń... To jest właściwe życie?..

Coraz prędzej przerzuca panna Karola depe-
szę. Szuka... Co to? Jest odpowiedź. Jakby specjalnie dla niej... Czyta z zapartym tchem. „Życie jest piękne...”

Serce panny Karoliny przesta-
je bić ze wzruszenia. Czyta dalej. „Życie jest piękne” udało się panu znakomicie. Prosimy o następną komedję. Dyrekcja teatru”.

Napoleon Sądek.

Pod terorem ojca-kochanka żyła dziewczyna 4-letnia

Pod ciężkim zarzutem kazirodczych stosunków z rodzoną córką, stanął wczoraj przed sądem okręgowym, Paweł Ekiert, lat 41, z zawodu murarz.

Odpowiadał za więzienia. Sprawę wniosła poszkodowana 18-letnia dziewczyna, drobnej budowy, której opowieść w policji obyczajowej, brzmi jak rzewna skarga sieroty.

Po śmierci matki, ojciec sprzedał mieszkanie i musieli się wyprowadzić na ulicę Chłodną 56 i zamieszkali jako sublokatorzy u pewnej starszej kobiety, która małą izdebkę przedzieliła parawanem.

Tak się złożyło, że sublokatorzy, kępowali trochę właścicielkę mieszkania i ta chętnie przyjęła inowację, że będą gnieździć się w jednym kącie izby.

Ekiert porabiał swoje drewnia

ne łózko na opał i przemiósł się do córki...

Codziennym świadkiem herezji uprawianej pod jej okiem, bo ją cieszyło tylko, że jest nieskrepowana...

A w ciemnym kącie zakwitła sodomja.

Stan taki ciągnął się przez cztery lata. Dziś zdeprawowana przez własnego ojca dziewczyna liczy lat 19, dawniej nie miała tytułu i tylko obawie przed ojcem, znanym awanturnikiem przypisać należy, że się wcześniej nie poskarżyła.

Bo ojciec bił ją, maltretował, złośliwie Obsypywał różnemi

brudnymi wyzyskami, nie pozwalał wieczorami wychodzić z domu i spotykać się z młodymi ludźmi. Próbowano wyrwać się z pod tej tyranii i ucieka na wieś do wujostwa, ale i tam ją nie trzymano długo, bo ojciec odkrył kryjówkę, wysłał szereg groźnych listów, które sprawiły, że czempredziej dano jej na bilet i wysłał na zpowrotem do Warszawy.

Ekiert nie przyznał się do winy, twierdząc, że córka oskarża go przez złość, bo miał dla dzie ci twardą rękę i karał je często za szorstkość.

Potwornego ojca sąd skazał na cztery lata więzienia.

List do ukochanej

złodziejskim „grypsem”

Nikt tak chyba nie kłął bezceremonialnej niedyskrecji z korespondencją miłosną, jak sądzony wczoraj za udział w okradzie niu urzędniczki Burakowskiej, — recydywista Jan Pawlik.

Napisał on z więzienia list do narzeczonej Zosi Dąbrowskiej z ulicy Wroniej. Korespondencja taka z za krat na wolność, w potocznej mowie nazywa się „grypsem”.

Otóż gryps Pawlika, tak jak i on nie miał szczęścia. Przylapano go i przeczytano.

„Kochana Zosiu, — pisało w grypsie, — jak wyjdę z więzienia, to każda wolną chwilę będziemy spędzać razem... Całuję cię zawsze ten sam, Janek”.

Tkliwa, romantyczna treść grypsu nie roztkliwiła kamiennych serc strażników więziennych. Przeciwnie. Zaczęli zasta nawiać się i stwierdzili, że niektóre litery podkreślone są u dołu, a złożone w całość, utworzyły zdanie:

„Powiedz, że kupiliśmy to na Kercelaku, nie mów, że jesteś moją przyjaciółką”.

Rozszyfrowany list trafił do prokuratora. Ukończone śledztwo, wznowiono zpowrotem i za jęto się odszukaniem owej nadobnej adresatki.

Pawlik, milczał, jak głaz. — Ja wcale jej nie znam i listu zupełnie nie pisałem...

Poszukiwania współniczki spełzły na niczem. Zbyt wielkich dowodów przeciwko Pawlikowi proces nie dostarczył. Tyle, że był już 5 razy karany za kradzieże.

I teraz otrzymał wyrok: 10

Zakochany fryzjer

Twarz to nie pagórek

(S. F.) Może się denerwować przy pracy konduktor tramwajowy, egzekutor lub sprzedawca papierosów, ale chirurg i fryzjer — nigdy. Wystarczy, że fryzjerowi zatrzęsie się ręka, a już nosowi i policzkom klienta grozi poważne niebezpieczeństwo.

P. Adam Zawój, subjekt fryzjerski w zakładzie przy ul. Żabkowskiej, był niezwykle zdenerwowany. Zerwał poprzedniego dnia z narzeczoną i w chwili, kiedy zakładał serwetkę na szyję klienta, p. Szymona Chodakowskiego, przypomniała mu się bez porównania bielsza, gładka szyjka ukochanej.

Z bólem w sercu przystąpił do pracy. Gesty zarost gościa przypomniawszy mu lasek na Bielkach, w którym spędził z narzeczoną niejedną rozkoszną chwilę. Przy pominięciu mu się huśtawka, karuzela... Jeździli przytuleni dookoła, o tak, o tak...

I p. Adam tak zamaszycie za czaj kręcić pedziem po twarzy klienta, że opryskał całe jego ubranie.

— Co pan właściwie chcesz u mnie gościć? — spytał gniewnie p. Chodakowski.

— Twarz, proszę pana.

— To po jaką cholere pan mi mydlisz marynarkie, koszule i trzewiki.

— Przepraszam — mrknął p. Adam i sięgnął po brzytwę. Namydłona twarz klienta przy

pominała mu znów osypany śniegiem pagórek, po którym zeszedł zimy jeździł sankami z narzeczoną.

Jeździli równo, gładutko, tak jak on teraz brzytwą po twarzy klienta. A potem nagle w śnieg... bęgl!

Brzytwę pana Adama, jak wywalone sanki, zjechała raptownie na podbródek p. Chodakowskiego. Trysnęła krew.

— Warjata! — wrzasnął p. Chodakowski, zrywając się z fotela. — Podbródek mi chciał uciąć.

I, trzymając się za okaleczone miejsce skoczył w kąt zakładu. Przerazoni p. Adam, ochłonął, złapał kawalek alunu i pobiegł za klientem, żeby mu zatamować krew.

Klient jednak, źle widąc zrozumiął intencje zakochanego fryzjera.

— Trzymać warjata! — wrzasnął. — Podbródek chce mi uciąć!

Zastąpił się krzesłem i widząc, że p. Adam pominie wszystko wyciąga rękę w stronę jego podbródka, wyrzwał go z całej siły w głowę.

Za ten właśnie odruch obrony który, jak jednak wykazał przewód sądowy, był za mało uzasadniony, Sąd Grodzki skazał p. Chodakowskiego na tydzień aresztu, zawieszając mu wykonanie kary na przeciąg roku.

Podróżuj samolotem



P.L.L. „Lot”

Gdzie jest Aniela?

Niezwykły gość w naszej redakcji

Wczoraj w godzinach popołudniowych redakcja naszego pisma była terenem ciekawego, a jednocześnie dramatycznego wydarzenia.

Praca w redakcji zaczyna się około godziny trzeciej. W tym właśnie czasie zjawiał się w poczekalni jakiś pan, ubrany dostojnie, a nawet wykwintnie. Przy-

były zdradzał wielkie zdenerwowanie. Zwrócił się do siedzącej w okienku urzędniczki administracji:

— Chciałbym zaraz widzieć się z redaktorem.

— Pan redaktor przyjmuje od godziny 5-ej do szóstej.

Dalszy ciąg rozmowy z przybyłym

urzędniczka naszej administracji pani Maria W., opisuje w następujący sposób:

— Ten pan, bardzo przystojny, bardzo, był strasznie zdenerwowany. Chciał się wywieść, o co mu chodził. Myślałam, że nie podobają mu się jakieś z nas wiadomości i przyszedł żądać sprostowania, jak to się urznie się gdzie, a następnego dnia nieraz zdarza, kiedy taki jegomość wstyd mu i przychodzi prosić, żeby jeszcze raz napisać, że to nie był on,

tylko ktoś o podobnym nazwisku. Ale on był coraz bardziej zdenerwowany i nie, tylko do pana redaktora.

Obok okienka stał goniec redakcyjny, Tadeusz, i przysłuchiwał się rozmowie. Nagle we drzwiach ukazał się redaktor. Tadeusz zawał:

— O, idzie pan redaktor!

Nieznajomy podbiegł do redaktora mimo sprzeciwu gońca,

który starał się przekonać przybyłego, że redaktor teraz nie przyjmuje. Nic nie pomogło. Zresztą, redaktor zauważył niezwykłe wzburzenie nieznajomego i poprosił go do swego gabinetu.

W gabinecie redaktora nieznajomy wyciągnął z kieszeni numer 341 naszego pisma z dnia 5 grudnia i wskazał na stronie drugiej następującą notatkę:

Tajemnicze samobójstwo

Młoda kobieta, konająca w karetce Pogotowia, chciała wyjawic jakąś tajemnicę

W notatce tej donosiliśmy o tragicznej śmierci Anieli Sławowicz, która zmarła w czasie przevożenia jej karetką Pogotowia do szpitala.

Wiadomość ta brzmiała następująco:

Wczoraj w godzinach wieczornych wydarzył się w stolicy jeden z tak licznych ostatnio wypadków targnięcia się na życie młodej kobiety.

Na ulicy Sienkiewicza przy bramie domu Nr. 8 liczni przechodnie ujrzeli sianiącą się jakąś kobietę. Pierwsze wrażenie mogło wypaść krzywdząco

dla młodej, skromnie, ale elegancko ubranej kobiety; bliskość znanej restauracji pozwalałaby przypuszczać, że kobieta nadużyła alkoholu. Kiedy jednak kobieta upadła na chodnik, przechodnie zaalarmowali posterunkowego, a ten wezwał Pogotowie Ratunkowe. Lekarz stwierdził zatrucie nieznaną trucizną.

W czasie przewożenia niefortunnej karetką do szpitala, kobieta w silnej gorączce zaczęła majaczyć. Lekarzom udało się pochwylić tylko poszczególne słowa, które brzmią bardzo sensacyjnie i wskazują na ja-

kąś niezwykłą tragedię w życiu denatki.

Lekarz skrupulatnie zanotował słyszane wyrazy i podał je do wiadomości policji, która wszczęła dochodzenie.

Zanim lekarz odwiózł otruć do szpitala, ta zakończyła życie.

Wzrostki zostały odwiezione do Zakładu Medycyny Sądowej przy ul. Oczipki.

Z papierów, jakie znaleziono w torebce kobiety, można było stwierdzić, że jest to Aniela Sławowicz. Adresu nie udało się ustalić.

Redaktor nasz rzucił okiem na

notatkę i spojrział pytająco na przybyłego.

— Niech pan wybaczy, panie redaktorze, moje zdenerwowanie. Ale ta notatka w pańskim dzienniku spokoju mi nie daje... Pan pozwól, że się przedstawię... Stefan T., inżynier... (nazwisko znane w najlepszych sferach stolicy). Ta kobieta, Aniela Sławowicz jest moją znajomą, bliską znajomą. Niech pan zechce poświęcić mi parę minut.

P. Stefan T. mówił głosem przerywanym, z trudem panując nad swoim wzburzeniem.

— Czy pan może stwierdzić, że w nazwisku nie zaszła omyłka? Czy denatka nie nazywa się

niedo inaczej? Przeczucie, które mu zresztą nigdy nie wierzyciem, jestem bowiem człowiekiem, który ma do czynienia ze ściśleml wyliczeniami, a nie z fantazją, o-władną mną w sposób dla mnie niepojęty! Szepcze mi, że ta nieszczęśliwa to właśnie moja bliska znajoma którą... mam... na sumieniu!

Inżynier pochylil głowę i zmilkł. Ręce jego spoczywały bezwładnie na kolanach, jak u człowieka, którego śmiertelnie zmrużyła ciężka praca fizyczna.

— Od czasu przeczytania notatki — podjął po chwili inżynier, — nie mogę zmużyć oka... Niech pan posłucha!

Zepchnąłem nieszczęsną w otchlań nędzy i upadku

Wstrząsające opowiadanie inżyniera Stefana T.

— Kilka tygodni temu potrzebna mi była do dorywczej pracy maszynistka. Dałem ogłoszenie do gazety, gdyż nie lubię znajomych pan przy pracy. Ofert naturalnie dostałem tak wiele, że przeglądałem list co dziesiąty. Zwrócił moją uwagę jeden list krótki, nie wdający się w opisy osobistej nędzy, któremi prawie we wszystkich ofertach starano się mnie przekonać, że właśnie pisząca winna być zatrudniona. Ten jeden list zawierał w kilku słowach warunki a charakter pisma był wyrobiony i miły dla oka. Na moje wezwanie zgłosiła się panna Aniela S. Młoda dziewczyna, może lat dwudziestu, może 22-eh. Zrobiła na mnie od razu wielkie wrażenie. Nie jestem jednak z zawodu uwodzicielem. I nie dlatego ją przyjąłem. Była ubrana bardzo skromnie, a niezwykle powabnie. Wyrażała się z prostotą, grzecznie, a bez uniożności, której nie znoszę. Doszliśmy od razu do porozumienia. Następnego dnia przysłała do pracy.

Ja dyktowałem, ona pisała. Praca trwała codziennie z godziną przerwą cztery do pięciu godzin. Nie wdawałem się z nią w żadne rozmowy. Nie miałem nawet na to czasu. Kiedy kończyła pisać, przeglądałem maszynopis, by sprawdzić, czy nie wkrađły się do niego jakie błędy. Nie, pisała doskonale: szybko i bez błędów. Jeśli były w maszynopisie jakie omyłki, było to moja wina: że coś podyktowałem.

Po dwóch tygodniach praca została ukończona. Należało się maszynistce według umowy 200 zł. Tego dnia pracowaliśmy 8 godzin. Była już dziewiąta wieczór. Kiedy panna Aniela włożyła ciężko zarobione pieniądze do skromnej torebki, zapytała ją:

— Czy pani zadowolona z zarobku?

— O, tak, panie inżynierze! Już dawno nie zarobiłam tyle pieniędzy.

— Pani znajduje się w ciężkich warunkach?

Spostrzegłem, że moje pytanie wprawiło ją w zakłopotanie. Przeprosiłem ją. Odpowiedziała:

— Nie mam za złe panu jego pytania. Jest zupełnie naturalne. Ale tak przykro jest mówić o własnej biedzie!

Ta wrażliwość, skromność i naturalność zrodziły na mnie wielkie wrażenie.

— Proszę mi nie brać za złe — powiedziałem — mojej ciekawości. Pani jest zdolną pracownicą i każdy pracodawca byłby z pani bardzo zadowolony. Chciałbym też, jeśli mi warunki pozwolą, zaofiarować pracę pani u siebie. W tej chwili kryzys zaczął mi zamknąć moje biuro. Zredukowałem wszystkich swoich pracowników i nie nie robię. Stać mnie na przetrwanie kryzysu, ale nie stać na prowadzenie biura, w którym trzeba płacić pensje, a nie nie zarabiać.

Zapisałem jej adres. Kazałem podać barbatę. Nie odmówiła.

W czasie herbaty rozmowa nasza przybrała obrót bardziej os-

bisty. Panna Aniela opowiedziała mi w paru słowach o sobie. Nie były to jakieś nadzwyczajne sprawy. Ot, codzienne życie biednej dziewczyny. W pewnej chwili zagadnąłem ją, czy ma narzeczonego. Wydało mi się to naturalne, by tak piękna dziewczyna miała narzeczonego. Przecież jest wielu męczyzn, godnych posiadania takiej tony.

— Tak — powiedziała cicho, — mam narzeczonego. Ale zlecił mi go w kraju.

Krótko mówiąc panna Aniela, córka zredukowanego urzędnika magistrackiego, któremu nawet nie przysługiwała emerytura, czekała aż jej narzeczonego przeprowadzi jakąś pracę zagranicą, która jego i ją miała wybawić z biedy. Ale o czasie wyjazdu tego pana minęło już dwa lata, a listy stawały się coraz rzadsze.

Zwierza mi się z ujmującą prostotą ze swej troski, że pewnie jej narzeczonego zaprzęgnięty jest zagranicą jakąś inną kobietą.

Nie uniełem panu odmalować stanu swych przeżyć tego wieczoru. Byłem dziwnie podniecony. Nie zdarza mi się to prawie nigdy. Jestem naogół bardzo opanowany. Tego wieczoru działo się ze mną coś niezrozumiałego. Kazałem podać butelkę koniaku. W mieszkaniu było dość chłodno. Nie lubię zbyt nagranych pokoi. Panna Aniela powie działa, że jej zimno. Wypiła kieliszek koniaku. O godzinie dziesiątej przyjęła moje zaproszenie, by zjeść kolację w restauracji. Byliśmy obydwój niewątpliwie

podnieceni nerwowo i pracą, i jej zakończeniem i wypitym koniakiem. Około północy czulem się tak, jakbym siedział ze znajomą mi osobą od wielu lat. Panna Aniela odnosiła się również do mnie z wielkiem zaufaniem. Wtedy powiedziałem:

— Wypijmy jeszcze jeden kieliszek za pani pomyślność!

Piliśmy mocny tokaj (panna Aniela chciała tokaju, kiedy była mowa o wyborze wina). Ujeliśmy uśmiechnięta kieliszek. Wypiliśmy. Widziałem wyraźnie, że kieliszek ten odurzył ją.

I wtedy postąpiłem, jak człowiek, który nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Przeprowadziłem ją do gabinetu tej restauracji. Piliśmy tam jeszcze. Napół przytomną ułożyłem na kanapie. Stałem się niepoczytalnym zwierzęciem!

Inżynier zacisnął ręce na strotniach, przyprószonych już lekko siwizną. Na jego pięknej, męskiej twarzy malował się ból i niezmierny żal. A potem mówił wolno, z trudem wyciskając słowa z ust:

— A kiedy ona oprzytomniała... patrzyła na mnie, jak obłąkana. Nie mówiła nic. W jej pięknych oczach lśniły łzy. Nie mogłem się zdobyć na żadne zdawkowe pocieszenie, na żadne zapewnienia, obietnice. Siedziałem przybity tem, co zrobiłem. Chwyciła nagle palto, kapelusz i, zanim zdobyłem się na jakiś sprzeciw — wybiegła. Pobiegłem za nią. Nie wiem, jakim sposobem zniknęła mi z oczu. Bie-

gąłem tam i zpowrotem po ulicy przed restauracją. Nie zobaczyłem jej nigdzie.

Nie widziałem jej więcej — głos inżyniera załamał się, po chwili jednak opanował się i powiedział: — Jej łzy nie dają mi spokoju. Notatka w gazecie wstrząsnęła mną. Jestem prawie nieprzytomny. Niech mi pan darujcie... Nie mogę się powstrzymać... Pomóżcie mi ją odnaleźć! Wiem że pomagacie jak możecie w najrozmaitszy sposób różnym nieszczęśliwym i biednym. Pomóżcie mi ją odszukać! Niech pan przedewszystkiem poleci sprawdzić, czy niema pomyłki w podanym nazwisku w notatce.

Redaktor zadzwonił na Tadeusza i kazał poprosić referenta kroniki wypadków.

— Panie Józeffe, niech pan będzie laskaw sprawdzić w notatniku, czy to nazwisko podane jest u nas prawidłowe.

Referent sprawdził:

— Tak. Nazywa się Sławowicz.

— Dziękuję panu.

— A więc to nie ona!... Ale to jeszcze głę wyczerpuje tej sprawy. Pomóżcie mi ją odnaleźć!

— Dobrze. Damy ogłoszenie. Nie wątpimy, że zechce na nie odpowiedzieć. Niech pan do nas zajdzie jutro, lub zatelefonuje a powiemy panu, jaki jest rezultat ogłoszenia.

Zamieszczamy więc ogłoszenie, według treści napisanej przez pana T.:

Panna Aniela Sławowska

proszona jest, by dała znać o sobie

Każdy, kto dostarczy wiarygodną o niej wiadomość, otrzyma nagrodę w kwocie 100 zł.

DZIECKO GRZECHU

Tragiczne przeżycia Kobiety, która zgrzeszyła

— Więc jednak była mowa, aby mnie okłamać? — nalegała Lusja, przejęta lękiem.

— Tak — przyznał Gorczak, — bo pan Banowicz nas opuszcza...

— Chyba na krótko tylko? — zapytała, drżąc z przerażenia.

— Chce pojechać do Polski... ale ma wrócić... ręczę ci... Przyrzekł mi...

Lusja szepnęła, mdlejąc z bólu:

— Nie... Ja wiem... nie zechcę już wrócić...

Padła na krzesło. Zastygła bez ruchu. Tamci dwaj podbiegli do niej zaniepokojeni.

Mieczysław spoglądał na nią z rozrzewnieniem, wysłuchując sobie:

— O, jakże mnie kocha!... Czemuż tyle szczęścia mi jest zakazane?

Gorczak, wzruszony do łez, spoglądał na Mieczysława, jakby chcąc mu rzec:

— Gotowa umrzeć... Niech pan do tego nie dopuści...

Gdy Lusja wreszcie otworzyła oczy, pierwsze jej spojrzenie było pełne wyrzutu... Dlaczego jej, tak płomiennie kochającej, zadawano taki ból?

Gorczak usiłował ją uspakajać:

— Wróci. Przyrzekł mi. I ja ci to przyrzekam. Czyżbyś nam obu nie wierzyła?

— Ale dlaczego musi koniecznie wyjechać?

— O tem dowiesz się w swoim czasie.

Lusja z oburzeniem wzruszyła ramionami. Już całkowicie odzyskała przytomność. Jej dzika gwałtowność wychodziła teraz najaw w całej pełni.

Zawołała:

— Ja już i tak wiem, jaka jest przyczyna wyjazdu.

Poczem, zwracając się raptownie do Mieczysława, dodała:

— Pan mnie kocha i pan wie, że ja pana również. Czemuż więc pan ucieka ode mnie?

Ani Mieczysław, ani Gorczak nie umieli znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Lusja zawołała:

— Kłamiście więc oboje, mówiąc o powrocie. Dlaczego mnie okłamujecie? Za jakie grzechy jestem taka nieszczęśliwa? — jęknęła wybuchając spazmatycznym płaczem.

Równie szybko wszakże uspokoiła się, pytając nagie Mieczysława:

— Pan jedzie do kraju?

— Tak.

— Dobrze. O ile to prawda, że pan zamierza wrócić tu, zechce pan może łaskawie coś mi załatwić. Jeżeli się pan zgodzi, da pan dowód swej prawdomówności. Jeżeli pan odmówi, będę wiedziała, że pan kłamie. Przyjmie pan ten sprawunek czy nie?

Mieczysław milczał, choć serce mu wołało:

— Wróć, wróć, choćbym miał szukać tego zabójcy rok, dwa, pięć lat...

Gorczak spoglądał na niego błagalnie, jakby chcąc powiedzieć:

Niech pan przyjmie...

Widząc ten wymowny wzrok, Mieczysław rzekł:

— Przyjmuję...

Twarz Lusi rozjaśniła się radośnie. A jednak rzekła oschle:

— Ależ pan długo się namyślał...

— Jaki to ma być sprawunek? — zapytał Mieczysław.

— Nic szczególnego. Tylko, że będzie pan musiał nieco zboczyć z drogi. Chciałabym, aby pan pojechał do Londynu i zawiózł tam do jubilera Greena kilka brylantów nieoprawionych, które otrzymałam w spadku po panu Rembie, przyjacielu mojego ojca. Pragnął, abym miała z tych brylantów diadem i przybranie ślubne. Otóż Green jest jedynym jubilerem, któremu mam zaufanie, że potrafi mi to pięknie zrobić. Sprawa, oczywiście, nie jest tak bardzo pilna, więc na powrotnej drodze będzie pan mógł odebrać od Greena wszystko już gotowe i odnieść mi... Ponieważ brylanty te posiadają wielką wartość...

— A jaką dokładnie?

— Grubo więcej ponad dziesięć milionów... — wtrącił Gorczak.

— Styśzy pan? — mówiła Lusja — ponad dziesięć milionów. Więc jestem przekonana, że pan mi tego wszystkiego nie przyśle przez kogoś, tylko wręcz osobiście, a wtedy...

Umięła na chwilę, bo wzruszenie dawiło jej gardło...

Opanowała się wreszcie i dokończyła drżącym głosem:

— ...a wtedy jeżeli pan, człowiek, który tak mnie kocha, że dla mnie stanął przed trzykrotnymi strzałami Denleya, człowiek, przyjęty z otwartymi ramionami przeze mnie i moją rodzinę, znów będzie się wykręcał, uczciwość nakaze panu jednak wyjawic tajemnicze powody takiego postępowania.

— Gdy wróce, powody te już nie będą istniały...

— Ha, tem lepiej... W takim razie proszę jechać i wracać jak najprędzej...

Gorczak odetchnął z ulgą. Wszystko, chwala Bogu, było załatwione pomyślnie. Lepiej nawet, niż się spodziewał. Lusja bardzo sprytnie to wymyśliła. Poradził tylko Mieczysławowi:

— Niech pan nikomu nawet słówka nie piśnie, co pan wiezie. Wcale pan nie domyśla się, jaką organizację posiadają tutejsi złodzieje. Gdy pan tylko parę; z ust puści, natychmiast pojedą za panem, zawadomą kolegów londyńskich, a wtedy nietylko brylanty ale i życie pańskie będzie w poważnej niebezpieczeństwie.

— O, gdybym zgubił taki skarb!...

Nie dokończył zdania. Zatrzymał się, widząc, jak Lusja drgnęła. Teraz bowiem dopiero zrozumiała, na jakie niebezpieczeństwo naraziła życie swego ukochanego...

Ale już przepadło. Cofnąć się — znaczyłoby zwątpić o nim... Milczała więc...

Gorczak odezwał się:

— Jeżeli pan w dalszym ciągu zamierza jutro wyjechać, wręczę panu wnet kasetkę z klejnotami. Chodzi tylko o pilnowanie jej w drodze do Londynu i z Londynu. U Greena będą bezpieczne. Aby pan tylko tego nie rozgadał...

Wyszedł z pokoju, zostawiając Mieczysława sam na sam z Lusją.

Byli oboje tak wzruszeni, że nie mogli sobie rzec nawet słówka. Mieczysław aż trząsał się cały. Natomiast Lusja po dłuższym wahanu zbliżyła się...

Zdjęła z palca pierścień z dwiema pozerającymi się wzajemnie żmijami i podała mu go, mówiąc:

Niech pan weźmie ten pierścień. Zdaje się, że panu się kiedyś poobał. Niechaj pana strzeże i będzie panu pamiątką o tych, co pana nie zapomną.

Poczem wolno wyszła z pokoju...

Mieczysław rozejrzał się dookoła...

Wtem przez uchylone drzwi sąsiedniego pokoju zamajaczyła mu jakby sylwetka... Denleya...

Zadrżał...

Jeżeli Denley był tam oddawna, mógł bardzo wyraźnie podsłuchać całą rozmowę... To byłoby okropne... Denley jest mściwy, bezwzględny, nieublagany...

Mieczysław zadrżał...

Bał się nawet nietylko o siebie, co o Lusję.

Postanowił postawić sprawę jasno. Podszedł cichutko do sąsiedniego pokoju i raptownie otworzył drzwi naoscież.

Pokój był... pusty...

Usłyszał, że ktoś zbiega po schodach. Po chwili przez okno ujrzał Denleya wsiadającego do samochodu i pośpiesznie odjeżdżającego.

Mieczysław zapytał przechodzącego lokaja:

— Czy tu był pan Denley?

— Tak, chciał się widzieć z panem prezesem. Chwileczkę czekał, poczem wybiegł. Widocznie za długo mu było. On zawsze taki w gorącej wodzie kąpany.

Mieczysław uspokoił się...

Niezupełnie słusznie. Denley słyszał rzeczywiście tylko parę zdań, ale najważniejszych: że Mieczysław wyjeżdża nazajutrz z kasetką wielce drogocennych klejnotów.

Powiedział sobie:

— Banowicz, jak wszyscy Polacy, jest bardzo honorowy. Niech mu zginie kasetka, będzie się uważał za szanbionego i painie sobie w łeb. A o to mi przecież tylko chodzi — i pobiegł na miasto.

Dalszy ciąg nastąpi.

ELMAR.

Trójka oszustów w podróży po Polsce

— I pojedziesz nim prosto do Urzędu Śledczego! — odparował praktyczny Stefan. — Delegat Akademickiego Komitetu, podróżujący autem! Chyba zawarłowałeś!

Marcelli musiał zrezygnować z myśli o samochodzie, natomiast „delegaci” postanowili nie wyrzekać się innych doczesnych uciech, których można mieć wbród — za „ciężko zapracowany” grosz. Odwiedzali więc chętnie krakowskie dancingi i pewnego razu...

NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE.

Siedzieli właśnie przy stoliku w „Trocadero”. Orkiestra grała jakieś smętne tango, wy malowane fordanserki snuły się po sali w poszukiwaniu zarobku, kelnerzy, zrecznie lawirując, między tańczącymi parami roznosili butelki i talerze. Pachniało pudrem, piwem i zielczalym tłuszczem — atmosferą, właściwą wszystkim noc-

nym knajpom. Właśnie Stefan podniósł się od stolika, chcąc prosić Zosię do tańca, gdy nagle, spojrzawszy po sali, usładi raptownie, odwrócił się do kolegów i zduszonym głosem rzekł:

— Chłopcy, nie nie gadać! Ostrzeżenie przyszło w samą porę, bo przed stolikiem stanął nagle jakiś roześmiany drab o puculowatej rumianej twarzy i, wyciągnawszy rubasznie rękę do Stefana, zawołał na cały głos:

— Jak sie masz, stary! Co po rabiasz u nas?

Nie, stanowczo Stefan nie był zachwycony tem spotkaniem i choć dość wyraźnie dał to poznać po sobie — nie oponował, kiedy przybyli przedstawili się lakonicznie reszcie towarzystwa: „Lolek jestem”, po czem siadł przy stoliku i bez ceremonii nalal sobie duży kieliszek wódki.

Marcelli i Wiktor pytali spojrzeni na Stefana, ale ten milczał, jak zakłętý.

Tymczasem Lolek powtórzył „kolejkę” i, zwracając się nagle do Stefana rzekł:

— Stary, masz znowu jakiś interes?

Stefan nachylił się do ucha przybyłego i pouplywiepółminuty wstali obaj od stolika i odeszli na stronę; na odchodnym Stefan zdołał raz jeszcze gestem nakazać kolegom milczenie. Gdy powrócił, był sam. Pobladł nieco i był widocznie zdenerwowany. Zapłacił czempredzej rachunek, a gdy znalazł się na ulicy odetchnął głęboko:

— Fatalna sytuacja chłopcy!

— Kto to był? — zapytał go niemal jednocześnie.

— Lolek? Jeden z najgorszych opryszków krakowskich. Miałem nieszczęście poznać go w Warszawie w pewnych hm... (tu Stefan potężnie się zaksztusił) okolicznościach. Lolek podejrzewa że robimy tu jakiś interes w Krakowie...

— Głupstwo, skąd on może wiedzieć?...

— Obserwuje nas już drugi dzień...

— Co robić zatem?

— Ano jedna rada; uciekać!

Stefan nie był jednakże Krakowakiem; gdyby nim był — toby wiedział, że łatwiej jest uciec przed piętorem najsprawy-

niejszej policji, niż przed mafią zorganizowanych opryszków krakowskich, „przedwujących” w knajpach na Kazimierzu. Przekonał się o tem nazajutrz; gdy schodził do portjera, by zapłacić rachunek — zdrętwiał: na schodach stał Lolek z jeszcze jakimś kulawem indywiduum. Palił palierosa, a na widok Stefana zdjął z przesadną uniżonością kapelusz: „Witam pana studenta”...

Przerażenie odbiło się na twarzy zaskoczonego Stefana; chciał się cofnąć z powrotem do pokoju, ale Lolek i jego kompan zastąpili mu drogę.

— Nie „ciekaj stary! Muszę z tobą pogadać... — rzekł spokojnie Lolek, nie wypuszczając palierosa z ust.

Wyrażna pogroźka brzmiała w tych słowach i pod jej wrażeniem Stefan stracił zwykłą pewność siebie; zrozumiał zresztą, że są pod bezustanną obserwacją przyjaciół Lolka i że trudno będzie wymknąć się nie postrzeżenie. Zrobił więc, jak to się mówi „dobrą minę do złej gry” i możliwie uprzejmym tonem rzekł:

— Jeśli masz jakiś interes, chodź do nas na górę...

— I owszem... Ale żebym tam żadnego smarkacza nie widział, z tobą chcę tylko mówić. A ty

Bernard — tu zwrócił się do kulewego towarzysza, czekaj na schodach i uważaj!

To „uważaj” powiedziane było ze specjalnym naciskiem Bernard wykrzywił twarz w uśmiechu i kiwnął głową. Lolek ze Stefanem weszli do pokoju.

— Przepraszam was, kole-dzy, ale mam tu kilka słów do pomówienia w sprawie osobistej...

Marcelli i Wiktor spojrzeli po sobie i poszli wgląd korytarza.

— Czego ten drab od niego chce! — mówił zaniepokojony Marcelli.

— To wygląda bardzo podejrzanie! — potwierdził Wiktor.

— I wogóle — skąd Stefan ma takie znajomości?!

O, gdybyż mogli usłyszeć rozmowę, jaka w międzyczasie toczyła się w ich pokoju!

CIEN PRZESZŁOŚCI

Lolek z chwilą, gdy pozostał się sam na sam ze Stefanem, usiadł na kanapie, nogi niedbale na krzesło założył, zapalił nowego palierosa i, patrząc w twarz Stefana, rzekł przeciągle:

— Pogadamy...

— Nie rozumiem, o czym — rzucił opryskliwie Stefan.

D. c. n.

W śmiertelnych oplotach

Sensacyjna zapowiedź kasiarza — Literackie dzieło o przestępcach —
Groźba śmierci

(m.). W świecie podziemi od pewnego czasu dał się zauważyć wzmożony ruch. Wyraża się on w częstych, konspiracyjnych zebraniach w najlepiej ukrytych melinach. Radzą w pierwszym rzędzie kasiarze, choć i przedstawiciele od „mokrych robot” również nie próżnują.

Zrozumiałe zupełnie, że na owe tajemnicze zebrania nikt z poza specjalnego grona zainteresowanych nie może się dostać. Mimo to, drogą okólnych informacji udało nam się zebrać sensacyjny materiał, który rzuca snop światła na owe zebrania.

Ustaliśmy, że jeden ze znanych kasiarzy, mogących się poszczycić wieloma śmiałymi wyprawami, zamierza wycofać się z czynnych szeregów. Widocznie wioletoletni pobyt w więzieniu, ciąгла obawa o swe życie, wieczne zatargi ze współnikami, awantury z kochankami uprzykrzyły życie Kasiarzowi i zamierza on zostać „porządnym” człowiekiem.

Ostatecznie koledzy po fachu nie czyniliby mu żadnych trudności, choć utrata świetnego współczesnika wielu wypraw byłaby dla nich wielką stratą. Okazuje się jednak, że kasiarz, którego nazwisko ze zrozumiałych względów trzymane jest w tajemnicy, ma zamiar po porzuceniu kamratów, zabawić się w „literata”.

Postanowił bowiem opracować w jak najbardziej dosadny sposób życie i czyny wielu ukrywających się kasiarzy, opisać sposoby organizowania wypraw, rozbijania kas, walki z policją, ucieczki i t. d. Dzieło to zakrojone na ołbrzymią skalę, miałoby dopomóc naszym władzom w walce z przestępcami.

O zamiarach swych kasiarz niepotrzebnie zwierzył się jednemu ze swych przyjaciół. Ten natychmiast doniósł innym i w ten sposób już po dwóch dniach w światku podziemi zawrzało. Obecnie czołowi przestępcy obradują nad sposobami unieszkodliwienia b. kamrata i niedopuszczenia do niepożądanego publikacji.

Podobno postanowiono zaatakować od kasiarza, by zaniechał tego rodzaju sprawy, gdyż w przeciwnym razie grozi mu bezwzględnie śmierć.

W ten sposób przestępcy zamierzają kasiarzowi uniemożliwić pracę. Czy kasiarz zleknie się tej groźby i porzuci swą śmiałą myśl, w obecnej chwili trudno osądzić.

Historja powyższa ludzko przypomina okoliczności ponurego zabójstwa, które miało miejsce przed paru dniami w Nowym Jorku.

Oto słynny przemytnik, Francesco Fabrzi, który dorobił się na wódce ołbrzymiego majątku, został zastrzelony w niezwykle tajemniczych okolicznościach.

Fabrzi jest trzecim z kolei z 5-ciu braci, którzy zostali zamordowani przez podziemnych sprawców. Dwaj bracia Francesco, Antonio i Luigi zginęli od kul, a ciała znaleziono zapakowane w workach.

Francesco również należał do bandy przemytniczej, ale niespo-

dziewanie postanowił wycofać się z dalszej „pracy” i ogłosić drukiem swe przeżycia w świecie podziemi. Zapowiedź ta wywołała zrozumiałe wrażenie i przed paru dniami, gdy Francesco był zajęty swą pracą literacką weszło 3-ch mężczyzn.

Sądząc, że to interesanci, Francesco wskazał im krzesła. Nieznajomi usiedli i na dany znak wyjęli rewolwery. Rozległy się 3 strzały i Francesco trafiony w głowę, okolicę serca i policzek padł trupem na miejscu. Zbrodniarze zbiegli.

Tak wygląda sprawa w Ameryce. Czy powtórzy się ona w Warszawie?

IKS.

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

P. Zosi, studentce Uniw. Warsz.
List bardzo, bardzo miły. Uprzejmie prosimy o dokładny adres, a postaramy się zaradzić wszystkim złemu, dopomóc w sprawie korepetycji i t.d.

„Mała Zosia”
zechce łaskawie podać swój adres.

P. Ania K. B.
jest proszona o podanie adresu. Znalazł się ktoś, pragnący dopomóc Pani w niedoli.

P. Jadzia z Zacisza
wpadając w ton lekkiej przesady pisze:
„Cudotwórco Redaktorze,

styniesz na całym świecie ze zbawienności rad, zechć i na mnie zwrócić swój wzrok łaskawy, pomóż w niedoli.

Polega zaś moje cierpienie na tem, że poznałam pewnego przodownika, za którego oczami poszłabym na koniec świata. Nie mam odwagi wyznać mu tego, bojąc się, aby mnie nie wydrwił. Choć widuję go często, ale zawsze w towarzystwie damskim, nie mogę więc mu tego wyznać. O, gdybym mogła pomówić z nim kiedykolwiek sam na sam, spojrzeć w jego czarowne oczy, upoiła się jego spojrzeniem, za którym tęsknię szalenie — możeby mi jakoś poszło! Ty je den możesz mi dopomóc w moim nieszczęściu, Redaktorze drogi.

Mój przodownik jest zapalonym czytelnikiem Twojego dziennika. Zawsze widzę to kochane pismo w jego rękach. Z pewnością przeczyta więc mój zew, tę cichą skargę serca dziewczęcego. Może odezwie się choć słowem, może zmieni i będzie dla mnie łaskawszy.

Dlaczego on nie ma dla mnie zupełnie serca? Przecież nie jestem zbrodniarką. Zauważam, że ów przodownik jest widocznie przydzielony do czternastego komisariatu na Pradze, bo przechodząc ul. Wileńską, kilka krotnie widziałam, jak tam wchodził lub wychodził. To bardzo przystojny brunecik, czesze się nawprost, ma piękne czarne marzące oczy, za którymi przepadam, ach, jak przepadam!

Oby tylko Pani nie przepadła z kretesem, bo niejedne „czarne oczy” już sprawiły dziewczętom zakochanym „czarny los”. Zna Pani piosenkę: „Oczy czarne”? A więc... Zresztą, zdaje się, że w danym wypadku niebezpieczeństwo Pani nie grozi, bo policjanci — to morowe chłopaki i żadnego dziewczęcia nigdy nie skrzywdzą. Oddaje więc Panią w jego ręce z całą ufnością, a jemu radzę — skorzystać z dobrych chęci Jadzi z Zacisza, marzącej o zacisznym szczęściu w domowym zaciszu z „niebieskim mundurkiem”. Jeśli tylko ten „niebieski mundur” nie ma już uwitego gniazda rodzinnego.

P. Rysia S.

powinna niezwłocznie o wszystkim zameldować w policji. Niczego się nie bać. Policja Panią ochroni.

Opłakuje śmierć 105-letniej żony

Śmierć w 80-ą rocznicę ślubu — 18-cioro dzieci — 79-letnia córka —
Łaska, licząca 83-lata

(m.) W małym miasteczku, Zabłodowie, osiedliło się przed pewnym czasem małżeństwo, które wspólnie liczyło... 221 lat. On, Zelman Goldringer w chwili przybycia do Zabłodowa miał 116 lat, ona — Sara 105 lat.

Staruszkowie od razu zdobyli sympatię ze względu na to, iż mimo podeszłego wieku byli bardzo uczynni. W tych dniach zdarzyło się, że małżonka Goldringera, obudzona w nocy jakimś podejrzanym szmerem, z trudem opuściła łóżko. Narzuciła na siebie tylko lekki szlafrok i przerażona obchodziła swój skromny lokal.

Po chwili otworzyła drzwi, pro wadzące na dwór. Wionął na nią silny wiatr. Staruszka nie zważając na chłód, obeszła domostwo, poczem uspokojona, iż nigdzie nie zauważyła śladów domniemanej wizyty złodziei, wróciła do sypialni.

Rankiem dnia następnego o garnet staruszkę silna gorączka. Przybył lekarz stwierdził poważne zaziębienie.

Choroba Sary wzbudziła niepokój u jej męża. Ze łzami w oczach patrzył na pobladłą twarz swej wioletoletniej towarzysżki. Z ust jego wyrwały się słowa: „Boże, zmiluj się nad nią”.

Choroba jednak postępowała w błyskawicznym tempie. Słaby organizm 105-letniej niewiasty nie wytrzymał i Sara w 2 dni później zmarła.

Rozpacz wdowca była strasz-

na. W chwili pochowania żony, kilkakrotnie mdlał i trzeba było wzywać pomocy lekarskiej.

Jak się okazuje Goldringer przeżył ze swą żoną 80 lat! Owocem ich pożycia było 15-cioro dzieci z których większość przebywa w Ameryce, albo w różnych miastach Europy. Najstarsza lat 83 Goldringera, córka, zamieszkała w Ameryce, liczy 79 lat.

Od chwili śmierci swej żony, biedny zlamany na duchu i ciele starzec, chodzi codziennie na

cmentarz i spędza na grobie po kilka godzin.

Rzewnymi łzami opłakuje śmierć tej, która niemal w ciągu całego wieku była mu wierną towarzyszką. Idąc na cmentarz, Goldringer opiera się na lasce, która pamięta jego lata młodzieńcze, liczy bowiem... 83 lata!

Cios, który dotknął Goldringera, obudził ogólne współczucie w miasteczku. Bliżsi i dalsi znajomi w różnoraki sposób dają mu dowody sympatii.

Najnowsze milionowe arcydzieło Kinga Vidora

Przejętymi kinomani warszawscy nie wiedzą pewnie, że to co oglądają w kinach, stanowi zaledwie część amerykańskiej produkcji. Szereg najlepszych filmów do nas nie dochodzi bądź ze względu na zbyt wysokie ceny, bądź wskutek braku przedstawicielstw w Warszawie.

Dzięki staraniom dyr. M. Waxa — b. kierownika Uniwersalu w Polsce i dyr. „National Film Corporation” — zobaczymy wkrótce w Polsce cały szereg najlepszych filmów wytw.

amerykańskich R. K. O. — Radio. Pierwszym z tych filmów będzie „Bird of Paradise” (Ptak), który ukaże się w „Atlantyku”. Na film ten wydano milion dolarów! Retyszerował go twórca z ciału niezapomnianego artysty — King Vidor — a w roli głównej zbaczymy dawno niewidzianą Dolores del Rio — „najlepiej zbudowaną kobietę w Hollywood”. Partnerem Dolores jest najpopularniejszy i najczystszy w Hollywood — Joel McCrea.

Bezrobocie jest klęską do walki z którą winien stanąć cały naród

Kurs dorożką za 110 złotych

Dorożka Nr. 97 poszukiwana

(S. F.) Już taki jest los przyjeźdnego z prowincji, że ktoś go w Warszawie musi nabrać. Jeżeli nie zawodowy oszust, to przynajmniej przygodna znajoma, a jeśli przyjeźdny jest człowiekiem cnotliwym, to chociażby dorożkarz musi go nabić w butelkę.

P. Wacław Bakalarski, mieszkaniec Radziwiłłowa, wsiadł na rogu ulicy Żelaznej i Chłodnej do dorożki i kazał się wieźć na Dworzec Główny.

Jechali przez ul. Krochmalną, kiedy nagle do dorożki wskoczyło trzech panów, opuścili ławeczkę i zajęli spokojnie miejsca obok pana Bakalarskiego. — Co jest? — zdziwił się pasażer.

— To moje znajome — wyjaśnił dorożkarz, — podwiezie ich kawałeczek.

Na dworze chłodno, to w czwórki cieplej będzie...

Rzeczywiście współtowarzysze po chwili opuścili dorożkę.

Po przyjeździe na dworzec, p. Ch. wysiadł i sięgnął po stojącą na koźle walizkę, kiedy znowu spotkała go przykreść.

— Najpierw forsa, potem walizka, — oświadczył dorożkarz. — Płać pan 5 złotych.

— 5 złotych? Przecież kosztuje kurs złotych!

— No tak, Płacisz pan za siebie złotych, za walizkę drugiem złotych, za dorożkę trzecim... A mnie i koniowi za robote po złotych, się nie należy?

Za tych trzech znajomych już panu nie policze.

P. Bakalarski, śpiesząc się na pociąg, nie targował się, wyjął 10-cio złotychkę i wręczył dorożkarzowi. Dorożkarz stracił z koźla walizkę, zaczął konia bać i odjechał galopem.

Pokrzywdzony pasażer zdał tylko jeszcze zauważyć Nr. 97 i pobiegł do kasy. Ale tu czekało go nowe rozczarowanie. Z kieszeni zginął mu portfel i będące w nim 100 zł.

Jeden kurs dorożką kosztował p. Bakalarskiego aż 110 zł. Przeklinając warszawskie środki lokomocji, udał się do komisariatu, żeby złożyć zameldowanie.

Za dorożkarzem i jego znołomymi wszczęto poszukiwania.

Czy wiecie że...

Mleko pod działaniem światła słonecznego zmienia w sposób przykry swój smak i zapach.

Za pomocą specjalnego procesu można wydobyc z ryb, nienadających się do jedzenia, pewien produkt, którym mogą być pędzone silniki spalinowe.

Wzmiankowany wyżej olej rybny, może również być wytwarzany w kostkach i służyć jako paliwo dla celów ogrzewania. Posiada on wartość opałową, nie tworzy natomiast prawie wcale popiołu.

W Teksas są specjalną opieką otaczane t. zw. czerwone mrówki. Drobne te owady zwalczają zaciekle i skutecznie inne owady, niszczące plantacje bawełny.

Korzenie tak niepozornej rośliny, jak koniczyzna, czasami sięgają trzech metrów w głąb ziemi!

Most między Detroit (U. S. A.) a miastem Sandwich (Kanada), można śmiało nazwać „mostem między dwoma narodami”. Ma on 700 metrów długości i kosztował 20 mil. dolarów.

Lakier japoński, jeden z najbardziej cenionych produktów tego rodzaju, jest wyrabiany przez pewną fabrykę w Japonii. Dziedziczy właściciele tej fabryki strzegą sekretu wyrabiania swego lakieru już od kilku wieków.

Po raz pierwszy zastosowano obecnie w Ameryce przyrząd, automatycznie wykrywający miejsce, w którym kolejowe są zhamowane, lub nawet tylko pęknięte. Przyrząd ten jest bardzo czuły.

Nad słynnym Grand Canyonem, jednym z najpiękniejszych i największych (170 metrów!) kanjonów t. zn. wąwozów, na świecie budują obecnie most. Będzie to most najwyższej wzniesiony nad powierzchnią wody.

Pszczoły „uprawiają” ćwiczenia ruchowe w ulach zimą, dla ciepła.

Najlepsi chemicy głowią się nad tem, aby wynaleźć gaz świetlny, niepalący.

